

# PRACA nad sobą

Treści zeszytu 13 , lipiec 1999

## „WYNAGRADZAMY CI”

Do aktu adoracyjnego św. Franciszka „Cześć Ci oddajemy Przenajświętszy Panie Jezu Chryste tu i we wszystkich kościołach Twoich, które są po całym świecie” mariawici dodali słowa: „Uwielbiamy Ciebie, dzięki Ci składamy, wynagradzamy Ci, błagamy Cię o nawrócenie i miłosierdzie dla świata.” Ten dodatek streszcza pokrótce intencje modlitw uczestników Dzieła Miłosierdzia Bożego danego w objawieniach Założycielki Zgromadzenia Mariawitów. Zanim ośmielimy się prosić o miłosierdzie dla świata, wpiery chcemy Zbawiciela nie tylko uwielbić i Mu podziękować, ale również wynagrodzić Mu. Co, za kogo i jak mamy wynagrodzić?

Mateczka kilkakrotnie ma objawioną potrzebę wynagradzania. Ma sama wynagradzać za kapłanów, którzy odmawiają brewiarz źle, lub wcale (*Początek zawiązku*, akapit 46), wraz z siostrami bogomyślnymi za niegodnych kapłanów w ogóle (*Pierwotny tekst*, 20). W innym miejscu dowiaduje się, że członkowie Zgromadzenia Mariawitów mają wynagradzać za masonów (*Początek zawiązku*, 49). W codziennych, wieczornych modlitwach „*Brewiarzyka mariawickiego*” znajdujemy słowa „*Pragnę, Panie ... wynagradzać Ci wszystkie grzechy obelgi i bluźnierstwa, jakie Ci wyrządzają ludzie złej woli*”. Te przykłady pokazują, jak bardzo cała organizacja mariawicka jest powołana do wynagradzania.

Kierowca jest zobowiązany wynagrodzić szkody wyrządzone przez swoją nieostrożną jazdę; wynagradza za siebie. Rodzice są zobowiązani do wynagrodzenia szyby wybitej w czymś mieszkaniu przez dziecko bawiące się nieostrożnie piłką; wynagradzają wtedy za istotę ludzką, za którą są odpowiedzialni. Rzadko w zwykłym życiu zdarza się wynagradzać dobrowolnie za kogoś, z kim nas nie łączą więzy żadnej prawnej czy moralnej, odpowiedzialności. A do tego właśnie jesteśmy w mariawityzmie powołani.

Jeśli komuś wiatr zwieje kapelusz do przepaści, a ja mu dam inny, to nie jest wynagrodzenie, tylko pomoc bliźniemu. Jeśli komuś okradzionemu dam sto złotych to też jest pomoc w biedzie, a nie wynagrodzenie za złodzieja. Chyba...

Chyba, żebym się za złodzieja pomodlił i dając okradzionemu banknot pomyślał: „Zrobileś, złodzieju, coś złego, coś powinien sam naprawić. Ja częściowo naprawiam to za ciebie i w twoim imieniu, modląc się, abyś przestał kraść.” Bo wynagrodzenie zakłada jakąś więź między mną, a

tym kimś, na przykład wspomnianą więź prawną, moralną, ale nie koniecznie tylko taką. Chrześcijańskie wynagrodzenie winno się łączyć z uczuciem, z miłością do tych za których wynagradzamy. Ojciec nie przestaje kochać dziecka, za którego wyczyn musi komuś wstawić szybę. Chrystus ofiarą Krzyża, kochając nas, wynagrodził nasze złe uczynki. Jest to najwyższy, doskonały przykład dobrowolnego wynagrodzenia za kogoś. My mamy Chrystusa naśladować.

Wynagrodzić za innych, to zrobić coś, co należało zrobić tym, którzy w jakimś sensie są z nami związani, w jakimś sensie bliscy nam, a czego oni zrobić nie mogą, nie umieją lub nie chcą. Kto jest nam bliski? Kto jest naszym bliźnim?

Gdy to pytanie postawiono Chrystusowi, nie podał „definicji” bliźniego. Powiedział: idź i czyń tak, abyś się stawał bliźnim innym ludziom (Łuk. 10;29-37). Nie można wynagradzać zniewag wyrządzonych Chrystusowi nie żywiąc uczuć miłości lub przynajmniej sympatii do tych, którzy te zniewagi wyrządzają przez brak świadomości spraw Bożych.

Mateczka odmawiając brewiarz na zadośćuczynienie za tych kapłanów, którzy go odmawiają źle lub wcale, miała dla nich wielki szacunek i cześć. Siostry bogomyślnie wynagradzając modlitewnie za lekceważenie stanu godności kapłańskiej przez duchownych niegodnych, słały ku nim serdeczne, szczere życzenia zrozumienia całej powagi tego, czym są, odnalezienia w sobie, nieureczywistnionego lub ztraconego powołania. Podobnie gdy członkowie Zgromadzenia wznoszą wynagradzające modlitwy za masonów, myślą o nich jako o tych, którzy pragną doskonałego porządku na ziemi w oparciu wyłącznie o środki materialne. Należy szanować te dobre, humanitarne ich zamiary i modlić się o to, aby zrozumieli, że będą je mogli ureczywistnić tylko wtedy, gdy ziemskie środki używane przez siebie uzupełnią wyproszonym miłosierdziem Bożym.

Istnieją wynagrodzenia rzeczowe, pieniężne i inne. Nawet gdy ustawimy wywróconą przez chuliganów ławkę w parku, lub gdy tylko podniesiemy śmieć rzucony bezmyślnie koło drogi, myśląc serdecznie o tych, którzy z braku rozumu i poczucia ładu dopuścili się tych nieporządków, może się to stać wynagrodzeniem. Ale mariawici, w czasach, gdy tak mało ludzi umie się modlić, są wezwani przede wszystkim do wynagradzania modlitewnego.

Gdy modląc się słowami brewiarzyka wspominamy wszystkie grzechy obelgi i bluźnierstwa, jakie Chrystusowi wyrządzają ludzie złej woli, myślimy z miłością o Zbawicielu, któremu to wszystko chcemy w miarę naszych sił wynagrodzić i zarazem wzbudzamy miłość do tych ludzi złej woli, za których chcemy wynagradzać. Myślimy o tych, którzy są biedniejsi od nas, bo nie mają światła Ducha, nie mają radości we współżyciu z Synem, nie mają pociechy w poczuciu opieki Ojca. Ślijmy im modlitewne, bratnie życzenia, aby i oni posiadli to, co stanowi o naszej sile i nadziei. Prośmy dla nich, naszych braci, o nawrócenie, o miłosierdzie. Wtedy modlitwa nasza będzie prawdziwym za nich wynagrodzeniem.

brat Paweł.

## CZY MOGĘ COŚ ZROBIĆ?

Tuż po zakończeniu II Wojny Światowej, pod wrażeniem jej okrucieństw, ludzkość ślubowała, że „nigdy więcej wojen”. Śluby, jak to w życiu bywa, poszły szybko w zapomnienie. Przez minione 54 lata od zakończenia tej wojny, wybuchały ciągle konflikty zbrojne, ale oszczędzały Europę. Dziś wojna weszła do Europy; może jeszcze nie tej bogatej i sytej, ale jest w europejskich granicach. Od kilku lat krwawią Bałkany. Dramat byłej Jugosławii rozgrywa się na naszych oczach. Doniesienia z „wojennego teatru bałkańskiego” zajmują wiele miejsca w środkach przekazu. Przeciętny człowiek prawie codziennie się styka z opisami ludzkiego dramatu. Jest to bowiem dramat ludzi atakowanych i ludzi atakujących. Wydarzenia takie nie pozostają bowiem bez śladu w psychice ludzi niezależnie od tego, po której stronie frontu się znajdują. Odczuwam jednak, że ten dramat zaczyna być bagatelizowany i obawy moje dotyczą nie tyle lęku przed rozprzestrzenieniem się wojny w Europie (choć i tego wykluczyć nie można), ile głównie pogłębiającej się znieczulicy ludzkiej. Tak, współczujemy uczestnikom tych wydarzeń, składamy się na materialną pomoc dla nich, gościmy uchodźców, ale jakby tym samym uspakajały się nasze sumienia. Siadając wygodnie w fotelu, w zaciszu mieszkania, oglądamy w telewizji te wydarzenia jakże dalekie od nas i może przez to nierealne. Szczególnie, że świat się równocześnie bawi - ten świat nie dotknięty bezpośrednio dramatem ludzkim. Wystarczy przełączyć kanał w telewizorze i już mamy rozrywkę. Wystarczy przewrócić kartę w czasopiśmie i mamy już prezentowany inny świat. Technika i wścibstwo dziennikarskie pozwala mi za pośrednictwem kamery zajrzeć w oczy ciężko cierpiących, oglądać zwłoki oraz dzielnych żołnierzy, aby za chwilę pozwolić zagościć w swym mieszkaniu, za pośrednictwem innego kanału, ludzkiej rozrywce. Nie zastanawiamy się jakie to dziwne, że są ludzie dla których oglądanie startu i lądowania w bazie Aviano we Włoszech samolotów bojowych lecących nad front jest rozrywką, a może obowiązkiem towarzyskim, po wypełnieniu którego można o tym porozmawiać z sąsiadami.

Te fakty nie dopuszczają spokoju. Wydawałoby mi się, że sumienie ludzkie nie powinno mi pozwolić na zapomnienie dramatu, a ludzka tragedia winna spowodować refleksje w umyśle i może jakieś ograniczenie radości, aby przez to być bliżej ludzi cierpiących. Myśl o ludzkim nieszczęściu nie powinna wracać do mnie tylko podczas oglądania wiadomości telewizyjnych, lub podczas lektury codziennej prasy. Nie powinienem się też uspakajać, że ten konflikt rozgrywa się jeszcze dość daleko ode mnie. Człowiek winien pamiętać, że każde cierpienie, nawet cierpienie tylko jednostki, jest cierpieniem całej ludzkości. Człowiek, jako dziecko Boże, jest bratem drugiego człowieka, jego bliźnim. Obowiązuje nas nakaz miłować brata, bliźniego tak samo, jak miłujemy egoistycznie siebie. Miłować bliźniego, to być z nim i w radościach i w smutkach; w zabawie i w cierpieniu. Nie można przechodzić

obojętnie obok cierpiącego, ani datkiem materialnym kupować sobie spokój sumienia. Obowiązkiem moim jest być z moim bratem, innym człowiekiem dzieląc jego radości i smutki. To moje 'być' musi być rzeczywiste, prowadzące niejako do identyfikowania się z cierpiącym. W przeciwnym przypadku i mnie Bóg może zapytać „*Kainie, gdzie jest twój brat Abel?*” (Rdz. 4;9).

Doskonale sobie zdaję sprawę z tego, że moje wpływy na sprawę polityki, na zmniejszenie prześladowań człowieka w skali makro, są niewielkie. Zdaję sobie także sprawę z tego, że dary materialne pochodzące ode mnie, a wpłacone z myślą o ulżeniu cierpiącym, niewiele znaczą. Mogę uciszać w ten sposób moje sumienie, ale to starcza na niedługi czas, zależny od mej refleksyjności. Problem zaś ludzkiego cierpienia pozostanie.

Wiem, że świat wpadł w wir zdarzeń, zachłysł się tak zwaną nowoczesnością i zmierza w nieznana, a groźną przyszłość. Sądzę, że nie leży w możliwościach ludzkich powstrzymanie świata w obłądnym „tańcu”, do którego może i przygrywa chochoł z „Wesela” Wyspiańskiego. Bierna postawa w tym „tańcu” jest nie do przyjęcia. Stając z boku wydarzeń nie mogę, ponieważ ich wir może mnie wciągnąć w oko cyklonu. Protest mój nie ma siły przebicia. Czy mam być bezradnym obserwatorem zdarzeń?

Z bezradności pojętej czysto po ludzku ratuje mnie wiara i modlitwa. Wiara w Boga, Który zesłał światu ostatni ratunek w Objawieniu danym Mateczce i Jego zapewnienie, że - mówiąc po ludzku - modlitwą mogę uprosić miłosierdzie dla świata. Modlitwa ta skupiona wokół czci Przenajświętszego Sakramentu oraz życie codzienne wzorowane na życiu Maryi, dadzą mi możliwość współuczestniczenia w kształtowaniu losów świata. Moją modlitwą, żarliwą i permanentną, będę wpływał na idee drażące świat, na to, że ludzie staną się lepsi, odpowiedzialni za swoje czyny i kochający bliźnich. I to będzie największy mój wkład w życie człowieka, w życie ogólnoludzkie. Sądzę, że jeśli dam przykład innym i nakieruję tym samym ich postępowanie na dialog modlitewny z Bogiem, będę miał wpływ na losy ludzi. W przeciwnym przypadku rozwój wydarzeń może nas wszystkich zaskoczyć, przynieść katastrofę na wielką skalę. Natomiast lękam się, że ufając tylko tak zwanej rozwadze ludzkiej i rozwojowi techniki stracimy z oczu wskazówki Boże i nie akceptując Jego woli wyrażonej w znanych nam Objawieniach stracimy okazję, aby wrócić do synostwa Bożego.

brat Jerzy

## *Siostra Synogarlica, Matka Ziemia*

*W dloniach franciszkowskiej figury w krążanku kościoła Santa Maria degli Angeli na równinie pod Asyżem synogarlice wylęgają małe i nikt ich nie ploszy.*

*„Kwiatki” - opowiadania o Franciszku z jego epoki - mówią o pewnym wyrostku, który nalał synogarlic na sprzedaż. Od Franciszka, którego*

napotkał po drodze, usłyszał wymówki, wskutek czego podarował ptaki Świętemu.

Ten nie tylko je uwolnił, ale wygłosił do nich kazanie, zbudował im gniazdzka, aby się mnożyły według woli Stwórcy i zapewnił u braci opiekę nad nimi.

I synogarlice odleciały dopiero - tak opowiadają „Kwiatki” - gdy Franciszek je pobłogosławił i zezwolił im aby się wyprowadziły.

Liczne są opowiadania o Franciszku i zwierzętach. Na tych opowiadaniach spoczywa blask, jakiego nie może wydać ani sztuka poetycka ani wymyślone, pobożne klechdy.

Miłość do zwierząt mojego brata, świętego Franciszka nie ma niczego wspólnego z sentymentalizmem,

Była ona do głębi duszy umotywowana religijnie i tkwiła w radykalnym ubóstwie.

Być biednym znaczy nie tylko niczego nie posiadać, ale także: być niczym. gdyż, kto jest biedny, nic nie znaczy w obecnym społeczeństwie, „jest niczym” w tym szarym i wzajemnie niekochającym się świecie, gdzie współ-ludzkie-odczuwanie stało się pojęciem obcym.

Franciszek, który „poślubił panią biedę”, i strzegł jej jak zazdrosny kochanek, nie tylko nie chciał się wynosić ponad innych ludzi, ale również ponad żadne stworzenie.

Owa pokora otworzyła oczy jemu samemu, ale przez to dziś i mnie, aby wszystko, co stworzone uznawać za współ-stworzenia i kochać je

Franciszkowy Hymn do Słońca jest przepięknym wyrazem takiej postawy: Słońce, Księżyc, ogień i wiatr nazywa braćmi, wodę - swoją siostrą, a Ziemię - matką.

To nie były tylko poetyckie nazwania.

Franciszek widział we wszystkich stworzeniach współ-stworzenia, które - podobnie jak człowiek - zostały stworzone, aby chwalić Boga. W każdym z nich dostrzegał też odbicie Stwórcy, wieść od Stwórcy, lub wskazówkę pozwalającą dojść do naszego Pana - i Brata - Chrystusa.

I tak, każde stworzenie wskazywało mu na Stwórcę, a spotkanie z każdym było stopniem na drodze do Boga.

Osnową tej miłości do zwierząt i wszystkiego, co istnieje, jak i miłości do ubóstwa była jego Chrystusowa mistyka. Franciszek chciał naśladować Chrystusa i w ten sposób zbliżyć się do Tego, Który się stał doskonale ubogim, aby otworzyć dla nas skarbiec życia

Gdybyśmy się nauczyli odnosić do każdego stworzenia ze świętą franciszkową bojaźnią,

wpołoby to wiele dobra w ludzkość i w cały ten świat.

Kto potrafi w zwierzęciu rozpoznać brata lub siostrę, nie będzie ich oceniał według osobistego pożytku, jaki ma z niego. Kto posiada psa „należącego do rodziny” wie o tym dobrze

Franciszek może nas nauczyć pokory wobec stworzeń i przez to wprowadzić w wolność, której nie uszanuje i nie pojmie nikt, kto wszystko mierzy tylko wartością materialną.

To prawdziwe bogactwo, gdy się uczymy przez każde stworzenie rozpoznawać Stwórcę! Stwórca stojący poza stworzeniem - to wznaga prawdziwą, głęboką cześć.

Kto w zwierzęciu widzi tylko obiekt własnego pożytku, temu grozi, że i na człowieka będzie tak patrzył, a to już się zaczyna dziać w obecnym społeczeństwie:

traktowanie ludzi jako składu narządów do transplantacji, które można zrabować...

chodowanie dzieci na dawców organów...

Przedwieczny nasz Rodzicielu, nasz Ojcze i Matko, wielbię Cię za stworzenie zwierząt. Ich wielość odzwierciedla przepastne bogactwo Twego życia, ich różnorodność - niepojete bogactwo Twojej fantazji, ich przystosowanie do różnorodnego życia - Twoją mądrość, ich piękno - Twoje piękno. Naucz nas rozwijać cześć dla Ciebie poprzez szacunek dla Twego stworzenia. brat Ansgar

tłumaczył z niemieckiego brat Paweł.

## Dlaczego uciekasz ?

Dlaczego przede mną uciekasz?

Wołałeś mnie i usłyszałem Twój głos.

Szedłem za Tobą, tropiłem Cię.

Kiedy zobaczyłem Twoje ślady

Uwierzyłem, że jesteś.

Dziś nie wiem w którą stronę iść.

Twoje ślady widzę dokoła; są na liściach drzew,

Na moim czole, w ogniu błyskawic.

Chcę się do Ciebie zbliżyć.

Jakim mam Cię wzywać imieniem?

Chciałbym ujrzeć choć rąbek Twojej sukni.

Będę Cię nadal gonić, dopóki jeszcze dzień,

Dopóki widzę zostawione dla mnie ślady.

To nic, że ludzie mówią „nie wypada”.

Nawet jeśli przestaniesz zostawiać ślad,

Będę się kręcił w kółko i nigdy nie dam Ci spokoju.

Przepraszam Cię za natręctwo, ale to nie moja wina.

To Ty chciałeś żebym za Tobą chodził.

Zburzyłeś mi wesoły świat.

Posiałeś we mnie ziarna wiary i wątpliwości,

Wiedzy i bezradności, miłości i niepokoju.

Ciężko mi z tym bagażem.

Daj mi pożywienie na dalszą podróż,

Pokazuj źródła czystej wody,

Przygotuj na mojej drodze oazy nadziei.

Pozwól nadal rozpoznawać Twój głos

Pośród hałasu tego świata.

Chroń przed bezdrożami.

Ja będę stawiał drogowskazy dla tych co z tyłu.

A gdyby nikt z tyłu nie szedł też będę stawiał.

Nie pozwolę Ci uciec

Marek Suder.

DRODZY CZYTELNICY! Wystarczająca liczba prenumerat umożliwiła nam od pewnego czasu drukowanie

zamiast kserowania oraz zwiększenie nakładu naszego aperiodyku. Dysponujemy obecnie dodatkowymi egzemplarzami każdego zeszytu, które możemy, jako egzemplarze okazowe, bezpłatnie przesłać dalszym potencjalnym prenumeratorom. Jeśli znacie osoby, które mogłyby być zainteresowane „Pracą nad sobą”, a dotąd jej nie mają, prześlijcie ich adresy, a w miarę posiadanych zapasów wyślemy im po egzemplarzu okazowym z zachętą do prenumeraty. Ponadto przypominamy, że każdy może zaprenumerować nasz aperiodyk swoim przyjaciołom jako prezent, co niektóre osoby już zrobiły.

Redakcja

## *BÓG I WOLNA WOLA CZŁOWIEKA*

Do redakcji wpłynęły dwie dyskusyjne wypowiedzi czytelników - Honoraty Korpikiewicz i Dawida Rudnickiego - spowodowane moim artykułem „Wolna wola człowieka wobec wszechwiedzy Bożej” z zeszytu 11. „Pracy” oraz artykułem Michała Własty „Czy Bóg jest poza czasem” z zeszytu 12. Pierwsza dyskusyjka pisze:

Artykuły mnie zaciekawiły i nad nimi pomedytowałam. Nie dlatego, żeby problem był mi nowy, przeciwnie, to co napisano, jest mi oczywiste (że Bóg zawsze wie o wszystkim co się u nas stało, czy stanie i jest pozaczasowy). Ale ja problem wolności przeciwstawiłam nie Bożej wszechwiedzy, ale wszechmocy. A więc Bóg wie, ale nie może nic zmienić. Może patrzy ze smutkiem, jak się staczamy, zawsze wie (wiedział, będzie wiedział), jaki jest nasz koniec, ale gdyby chciał i mógł, to by coś zmienił. Przecież chyba może ingerować? A może nie? Odwieczny problem teodycei. Już powołując Iotra (nie tego z sąsiedniego krzyża) do istnienia wiedział, co zrobi Iotr ze swoją wolną wolą, jaki będzie jego koniec. - Piekielny.. A jednak go powołał. Musiał? Jeśli ogarnia cały czas, to powołując człowieka do życia, zna jego koniec. Nawet wie, jakiego stworzy, czy dobrego, czy złego, ilu będzie dobrych, ilu „faciatych” itd. A jaki jest cel Boży, żeby nie stwarzać tylko dobrych ludzi, ale także złych? Żeby nie wszyscy byli zbawieni? Bo jeśli kocha i może, to dlaczego nie uszczęśliwić wszystkich? Jeśli jestem bogaczem i mam wagon cukierków, to czy nie obdaruję wszystkich dzieci?

A może Bóg nie ingeruje w świat ludzi (deizm), tylko go obserwuje? To jednak oznaczałoby ograniczenie jego wszechmocy i wszechwiedzy wobec stworzenia. Stworzył - nie wiedział co? Jak zobaczył, co z tego będzie, to już było za późno? Nie mógł czy nie chciał ingerować (jeśli nie chciał, to toleruje zło)? Itd.. Nie czuję rozwiązania.

Drugi dyskutant przekazał natomiast takie wspomnienie ze szkoły:

Przypominam sobie dyskusję, która się wywiązała na lekcji języka polskiego w naszej klasie. Jedni twierdzili, że człowiek ma wolną wolę, inni zaś (w tym - o ile sobie dobrze przypominam - nauczyciel) opowiadali się za predestynacją. Obie strony zgadzały się co do jednego: Nie jest możliwe, aby Bóg był wszechwiedzący, a jednocześnie człowiek miał wolną wolę. Byłem jednym z nielicznych, którzy twierdzili, że te rzeczy można ze sobą pogodzić. Pamiętam, że w miarę jak napięcie dyskusyjne rosło, zaczęło padać

coraz więcej haseł zakrawających na poważne herezje. Aby poprzeć swój pogląd powiedziałem, że Bóg jest poza czasem. Wszyscy się z tym zgodzili, lecz nie zmieniło to sytuacji wśród dyskutujących. To zrozumiałe. Dla mnie - a prawdopodobnie dla innych także - możliwość funkcjonowania poza czasem jest czymś zbyt abstrakcyjnym, aby można było z tego wyciągnąć jakiegokolwiek logiczne wnioski. Więc na poparcie swego kompromisowego stanowiska wymyśliłem coś innego. Polonista, który brał udział w dyskusji, miał zwyczaj chodzenia w kółko po klasie. Powiedziałem, że ktoś, kto często jest na tych lekcjach jest w stanie przewidzieć większość jego kółek z dość dużym prawdopodobieństwem, to jednak przewidywanie zupełnie nie wpływa na zachowanie nauczyciela, na jego wolę. Wprawdzie człowiek jest w stanie przewidzieć tylko niektóre czyny innych i to nie zawsze, ale człowiek jest ograniczony. Natomiast Bóg posiada nieskończoną wiedzę, może więc przewidzieć nieskończenie wiele nie ograniczając niczyjej woli. Nie pamiętam już jak ten argument został przyjęty na forum dyskusji. Z całą pewnością dyskusja - jak za każdym razem - została przerwana przez dzwonek, a dyskutujący nie doszedłszy do żadnego wspólnego wniosku, zajęli się innymi rzeczami.

Honorata Korpikiewicz przesuwając ciężar problemu z Bożej wszechwiedzy na Jego wszechmoc, zaś Dawid Rudnicki daje obrazowy argument za tym, że wiedza o czyimś działaniu nie ma wpływu na wolę działającego. W tej sytuacji jestem skłonny przyjąć, że w pewnym zakresie problem „Boża wszechwiedza, a wolność woli ludzkiej” został zamknięty. Otwierają się natomiast, związane z poprzednim, nowe problemy, wymienione przez pierwszą dyskusyjantkę. Są one ważne i charakterystyczne. W rozmaitych sformułowaniach powtarzają je dość często różni ludzie, zbraja się więc będzie zastanowić wspólnie nad nimi, przybliżyć do ich zrozumienia i wyjaśnienia. Te problemy byłbym skłonny usystematyzować jak następuje:

Czy złych ludzi - „Iotrów” - jak ich nazywa dyskusyjantka czeka nieunikniony piekielny

koniec?

Jak to jest ze zbawieniem wszystkich?

Dlaczego Bóg pozwala być człowiekowi złym?

Do tego dochodzi problem podstawowy, dlaczego i po co istnieje zło. Ale wiadomo, że jego zrozumienie i wyjaśnienie wymaga wyżyn rozwoju duchowego, że sama umiejętność logicznego myślenia do dania odpowiedzi nie wystarcza. To zagadnienie pozostawiłbym - tymczasem przynajmniej - poza dyskusją na łamach „Pracy”. Chociaż gdyby ktoś z czytelników umiał rzucić na nie jakiś promień światła...

Problem „zbawienia wszystkich” oraz dlaczego Bóg toleruje zło postaram się nieco przybliżyć czytelnikowi i oświetlić w kolejnych zeszytach „Pracy”, a może zechce mnie w tym zastąpić ktoś inny. Czekamy w redakcji na odpowiednie artykuły. Tymczasem chcę omówić tylko problem wiecznego potępienia niepoprawnych przestępców.

Kościół Powszechny pierwszych wieków nie znał pojęcia czyśćca ani otchłani. Postulował się pojęciem piekła (po grecku: 'αἴτις'). Piekło - lub w liczbie mnogiej - piekła to miejsce przebywania dusz odłączonych od ciała, które przeszły przez wrota śmierci, ale nie mogą się cieszyć bliskością Boga. W piekle przebywały więc niektóre dusze sprawiedliwe oczekujące zbawienia przez Chrystusa, przebywają dusze oczyszczające się przed oczekiwanym przyjęciem do nieba, W piekle przebywają też po

śmierci najwięksi zbrodniarze. W *Składzie apostołskim*, pochodzącym z pierwszych wieków chrześcijaństwa wyznajemy, że Chrystus po dokonaniu zbawienia przez ofiarę Swojej śmierci właśnie *zstał do piekieł*. Uczymy się też, że z tychże piekieł wyprowadził wtedy oczekujące go dusze. Liczba mnoga *'piekieł'* wskazuje na ich różnorodność. Dlatego w średniowieczu, w Kościele zachodnim zaczęto wprowadzać na różne ich dziedziny różne terminy oddawane w polskim języku wyrazami *'otchłań'* i *'czyściec'*, w odróżnieniu od *'piekieł właściwych'* gdzie według Danteo na wrotach napisano *'Wstępujący tu, porzućcie wszelką nadzieję'*. To terminologiczne rozróżnienie na zachodzie, nie jest w istocie błędne, lecz przez jaskrawe rozdzielanie nazw, powoduje jako efekt uboczny wrażenie całkowicie różnych jakości, co się odbiło na takich poglądach, jakie przedstawia nasza czytelniczka. Kościoły wschodnie takich rozróżnień nie robią. Najbardziej u nas znany - z pośród tych wyznań wschodnich - Kościół Prawosławny, zgodnie z nauką chrześcijańską pierwszych wieków twierdzi, że po śmierci, każda dusza dociera wprawdzie do piekła. Dla dusz świętych i czystych jest to poprostu przygotowanie do wstąpienia w wyższe regiony, okres „przywdziewania szat godowych”. Kto przeszedł przez życie jako święty, już po czterdziestu dniach może wkroczyć do nieba.

Dusze „średnio pocziwych” grzeszników zatrzymują się w poszczególnych rejonach piekieł znacznie dłużej i to hamowanie ich drogi do nieba przez złośliwe duchy („celników”) bywa bolesne, choć pragnienie zbawienia i wiara w miłosierdzie Boże rozświecła ten okres nadzieją. Dusza musi zrozumieć, odczuć „na własnej skórze” wszelkie, nawet najdrobniejsze zło, jakie wyrządziła innym. Im więcej i głębiej ktoś sobie uświadomił zło swoich nieprawidłowych czynów na ziemi („żał za grzechy”) im więcej się starał tu, na Ziemi odrobić wyrządzone przez siebie zło („zadośćuczynienie”), tym mniej musi przeżywać cierpienia tam. Chrześcijańska wiedza duchowa mówi tu o dziesiątkach lat. Ostatnim, najwyższym kręgiem piekieł jest tak zwany „raj wyznaniowy”, tu wszelkie cierpienie ustaje, a zmarły cieszy się tym, co sobie za życia wyobrażał jako zbawienie. Jeśli sobie marzył, że w niebie będzie mógł grać Bogu przepiękne melodie na harfie, to tu będzie miał i harfę i pełnię zdolności wydobywania z niej najwspanialszych dźwięków. Zdarza się, że ci co przeszli ogromne cierpienia przed śmiercią, lub w inny sposób niezmiernie cierpieli w życiu, mogą się znaleźć w wyznaniowym raj, prawie natychmiast po śmierci. Pobyt tam trwa tak długo, póki zmarły nie poczuje czegoś w rodzaju nudy i wtedy znajduje w sobie siłę aby przezwyciężyć błędne wyobrażenia o szczęściu i wstępuje do prawdziwego nieba, a tam znajduje nie tylko „wieczny odpoczynek” (odpoczynek przez wieki), ale wzrasta duchowo i przygotowuje się do coraz to nowych, aktywnych zadań w służbie Bożej.

Jeszcze inne jest położenie tych, którzy przechodzą przez wrota śmierci ze świadomym wyborem zła, którzy nie pragną dobra, którzy są - jeśli tak to można określić - zatwardziali w złem. Ci nie mają i nie chcą mieć nadziei na zbawienie. Nie żalowali swoich przestępstw za życia, a więc muszą je teraz boleśniej i bezwzględniej przeżyć. Co gorsza, nie dociera do nich świadomość łaski Bożej. Jeśli w ogóle gniew Boży bywa określany jako odrzucona łaska Boga, to tu nabiera to określenie najbardziej namacalnego znaczenia. W piekle, trudno im znaleźć właściwy stosunek do Boga. Żadne promyki nadziei nie docierają do nich z początku. Mickiewicz prawidłowo przedstawia taki stan duszy w drugiej części „Dziadów”. Cierpiące straszne męki Widmo (zmarły

okrutny dziedzic), mówi, że stale ucieka od Słońca szukając nocy, a na pytanie czego mu potrzeba „*aby się dostać do nieba*” odpowiada „*Do nieba?... O, nie! Ja nie chcę do nieba!*”. W takim stanie dusza jakiegoś łotra, o którym pisze nasza korespondentka, może przebywać dowolnie długo, nie tylko przez dziesiątki lat, ale i przez wieki („*potępienie wieczne*”). Istnieje możliwość, że ktoś nigdy ani nie zrozumie zła przez siebie wyrządzonego ani nie zapagnie skorzystania z miłosierdzia Bożego. Teologowie prawosławni są jednomyślni co do tego, że taka możliwość cierpienia nieskończonego w czasie istnieje. Natomiast powątpiewają czy jakiegokolwiek istocie ludzkiej to się przydarzy. Niektórzy zachodni teologowie, którzy nie chcą używać terminologii prawosławnej, ale też mają „moralne” zastrzeżenia do mąk trwających w nieskończoność formułują to tak: Piekło (w sensie odrębnym od otchłani i czyśćca) istnieje, ale nikt nie powiedział, że się w nim musi znaleźć choćby jedna dusza.

A więc nie można mówić o nieodzownym „piekielnym końcu” takiego czy innego łotra. Piekło w pośmiertelnym bycie każdego człowieka jest tylko pewnym epizodem, który może być bardziej lub mniej bolesnym, dłuższym lub krótszym, może trwać wieki, ale nie mamy żadnych podstaw twierdzić, że dla kogokolwiek będzie trwał do nieskończoności.

To tylko mały fragment problemów poruszonych przez panią Korpikiewicz. Inne problemy - kiedy indziej.

brat Paweł

---

Zachęcamy czytelników do zabierania głosu zarówno na temat problemów postawionych w artykule obok, jak i innych nurtujących ich zagadnień. Ciekawsze wypowiedzi chętnie opublikujemy. Prosimy o refleksje, o dyskusje o tezach przedstawionych przez innych, o przedstawianie własnych przemyśleń. Kto uważa, że nie umie pisać, niech pisze tak, jak potrafi, a my się już postaramy wypowiedź lepiej zredagować. Chcemy, aby nasze pismo było prawdziwym ośrodkiem wymiany myśli religijnej.

Redakcja

---

## WYJAŚNIAMY BŁĘDY

W swoim czasie na łamach „*Mariawity*” zamieszczono wzmianki o zamknięciu mariawickich obiektów sakralnych na Lubelszczyźnie w czasie I Wojny Światowej <sup>1</sup>. Tą problematyką zajęli się też marginalnie S.Rybak i K.Mazur <sup>2</sup>. Bazując na książce K.Mazura pofantazjował na ten temat S.J.Rostworowski, zdarzeniami z tamtego okresu „udowadniając rusofilstwo” abpa Kowalskiego <sup>3</sup>. Mając to na uwadze doszedłem do wniosku, że czas się zająć tą sprawą przedstawiając ją obiektywnie, na tyle, na ile pozwalają posiadane źródła.

Przed przystąpieniem do wyjaśnienia sprawy muszę przypomnieć Czytelnikowi, że mariawityzm powstał na terenie

byłego zaboru rosyjskiego. Objął zasięgiem byłe Królestwo Polskie i część terenów zabużańskich. Po długich zabiegach ruch ten został - jako organizacja - uznany przez zaborcze władze rosyjskie, a ukoronowaniem kształtowania sytuacji prawnej mariawityzmu (Kościoła) był ukaz carski z dnia 11.III.1912 r. o wyznawcach nauki mariawitów. Od tej daty Kościół Mariawitów mógł funkcjonować w zaborze rosyjskim i miał w miarę rozsądnie uregulowany stosunek do państwowych władz administracyjnych. Dodam, że jednak Kościół był traktowany jako organizacja drugorzędna, zaledwie tolerowana przez władze i nie posiadał takich praw, jakie w tym czasie miały Kościoły: Prawosławny i Rzymskokatolicki.

Druga połowa 1915. roku przyniosła wojskom niemieckim i austrowęgierskim określone sukcesy na froncie wschodnim. Front się przesunął poza Bóg, a Królestwo Polskie znalazło się pod okupacją niemiecką (część centralna) i austrowęgierską (część południowo-wschodnią). Lubelszczyzna objęta była okupacją austrowęgierską. Władze okupacyjne austrowęgierskie rozporządzeniem Naczelnego Komendy Austriackiej z dnia 7.III.1916.r. zamknęły wszystkie kościoły i kaplice mariawickie na terenie im podległym. Restrykcje te objęły kościoły w Lublinie i Markuszowie oraz kaplice w Chmielu i Stoczku. Nie została zamknięta kaplica w Dąbrowie Górniczej. Uzasadniając swą decyzję władza okupacyjna stwierdziła, że na terenie zajmowanym przez wojska Austrowęgier mogą istnieć tylko te wyznania, które są uznawane przez Cesarstwo Austrowęgierskie. Ponieważ Kościół Mariawitów nie był uznawany przez władze tegoż cesarstwa, nie miał prawa do istnienia. Wobec tego budynki sakralne zamknięto i oplombowano. W tym miejscu należy dodać, że terenowe władze w Dąbrowie Górniczej nie wykonały tego rozporządzenia, a uzasadniając odmowę zamknięcia kaplicy mariawickiej podniosły ważny argument. Władze te uznały, że Kościół Mariawitów należy do rodziny Kościołów Starokatolickich uznawanych na terenie cesarstwa austriackiego. Wobec tego brak podstaw do uniemożliwienia mariawitom sprawowania kultu.

Decyzja władz austro-węgierskich była po myśli hierarchii rzymskiej. Istnieją nawet poszlaki wskazujące, że hierarchowie rzymskokatolicy współpracując z władzami okupacyjnymi, mieli wpływ na treść tego rozporządzenia. Zamknięcie mariawickich obiektów sakralnych miało ograniczyć kontakt duchownych z wiernymi, a także wykluczyć życie religijne parafii. W konsekwencji prowadziłyby to do duszenia ruchu mariawickiego. W tym miejscu aż się prosi podkreślenie tej współpracy hierarchii z zaborcami, ponieważ nadal pokutuje teza, że to mariawici byli zdrajcami szukającymi oparcia w zaborcach.

Starania proboszcza parafii mariawickiej w Lublinie kpt.M.Fidelisa Szokalskiego u władz zaborczych nie przyniosły rezultatu. Wobec tego ówczesny zwierzchnik Kościoła, biskup M.Michał Kowalski, pismem z dnia 13.VI.1916.r. zwrócił się do generał-gubernatora austrowęgierskiego w Lublinie o cofnięcie decyzji dyskryminujących mariawitów<sup>4</sup>. Bp Kowalski wniosek swój uzasadniał analogicznie, jak to zrobiły władze w Dąbrowie

Górnicej. Twierdził mianowicie, że rozporządzenie z marca 1916.r. nie dotyczy mariawitów, ponieważ należą do rodziny Kościołów Starokatolickich, a te są uznawane przez władze cesarstwa austriackiego. Gubernator lubelski pozostawił pismo bpa Kowalskiego bez odpowiedzi. Wobec tego bp Kowalski wystąpił z interwencją do generał-gubernatora Rzeszy Niemieckiej w Warszawie, gen. von Besselera, jako reprezentanta silniejszej strony w aliansie niemiecko-austriackim. Przekonany argumentacją bpa Kowalskiego gen. von Besseler w piśmie do generał-gubernatora w Lublinie uznał argumentację mariawicką i wnosił o otwarcie kościołów mariawickich. Dodać należy, że von Besseler nie wydał decyzji o zamykaniu obiektów mariawickich na terenach okupowanych przez Rzeszę Niemiecką.

Austriacki generał-gubernator w Lublinie w odpowiedzi danej gen. von Besselerowi (kopię otrzymał bp Kowalski) podtrzymał swe negatywne stanowisko w tej sprawie. Jego uzasadnieniem było, że Austria była związana z Węgrami unią personalną. Na terenie rdzennie austriackim Kościół Starokatolicki działał i miał uznanie. Takiego uznania kościół ten nie miał na terenie Królestwa Węgier i wobec tego uznał, że zgoda na otwarcie obiektów mariawickich byłaby sprzeczana z prawem obowiązującym w Królestwie Węgierskim. Jednak tenże gubernator zezwolił na działalność na swym terenie mariawickich instytucji oświatowych i dobroczynnych (żłobki, przedszkola, szkoły, przytułki). Zamknięte zaś mariawickie obiekty sakralne stanowiły dowód na dwoistość w ocenach moralnych i prawnych stosowaną przez władze austro-węgierskie w porozumieniu z klerem rzymskim. Wobec takiego stanowiska okupacyjnych władz lubelskich w dniu 18.VIII.1916.r. delegacja mariawicka w składzie biskup M.Jakub Próchniewski oraz kaptani M.Franciszek Rostworowski i M.Filip Feldman udała się do Warszawy z kolejną interwencją do gen. von Besselera<sup>5</sup>. Delegację tę przyjął jedynie delegat austriackiego gubernatora przy von Besselerze, Polak w służbie zaborcy, baron Konopka, który odmówił jakiegokolwiek interwencji w tej sprawie. To właśnie ten incydent pozwolił J.S.Rostworowskiemu na wysnucie błędnych i przekłamanych wniosków<sup>6</sup> o odsunięciu bpa Kowalskiego w Kościele od władzy podczas okupacji niemiecko-austriackiej z uwagi na domniemane rusofilstwo. Prezentujący tę tezę nie znał przebiegu starań o legalizację działalności mariawickiej na Lubelszczyźnie i nie uwzględnił, że skład tej delegacji był zamierzony. Oto bp Próchniewski był koadiutorem bpa Kowalskiego, ks.M.Wawrzyniec hrabia Rostworowski był rodzonym bratem M.Rostworowskiego - wysokiego urzędnika w ówczesnych władzach, a ks. M.F.Feldman, jedyny w tej grupie władał doskonale językiem niemieckim. Oto powód, dla którego taki, a nie inny był skład delegacji, która jednak sukcesu nie osiągnęła.

Grudzień roku 1916. przyniósł istotną zmianę stosunku zaborców do Polski. Władze niemiecko-austro-węgierskie uznając osiągnięcia Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego na froncie wschodnim postanowiły wykorzystać polskie rezerwy ludzkie z terenów byłego Królestwa Polskiego do walk. W dniu 6.XII.1916 proklamowano niepodległość Królestwa Polskiego i powołano w

Warszawie Tymczasową Radę Stanu złożoną z Polaków. Równocześnie na czele guberni Lubelskiej stanął Polak w służbie austriackiej gen. St.Szeptycki (*nota bene* potomek Aleksandra Fredry, brat hierarchy lwowskiego obrządku unickiego). Wobec tych zmian lubelski proboszcz mariawicki kpl. M.Fidelis Szokalski wystąpił do gen. Szeptyckiego o zezwolenie na otwarcie mariawickich kościołów. Gen. Szeptycki uznał się za niewłaściwego do załatwienia tej sprawy i wnioskodawcę odesłał do Warszawy, do Tymczasowej Rady Stanu. Gubernator Szeptycki nie chciał uwzględnić faktu, że decyzję dyskryminującą podjął zaborca, zaś on był już reprezentantem władz polskich, ponieważ z chwilą powołania Rady Stanu i ogłoszenia choćby formalnej niepodległości Polski (quasi niepodległości) zarządzenia okupacyjne przestawały wiązać władze.

W powyższej sytuacji biskup Kowalski wystąpił do Tymczasowej Rady Stanu o wyrażenie zgody na otwarcie kościołów mariawickich na Lubelszczyźnie. Tymczasowa Rada Stanu w piśmie z dnia 15.VI.1917.r. nr 3045 skierowanym do Biskupa Starokatolickiego Kościoła Mariawitów w Płocku stwierdziła, że nie widzi podstaw, aby decyzja władz okupacyjnych co do zamknięcia sakralnych obiektów mariawickich była zasadna. Stanowisko swoje Rada Stanu wywiodła z projektu opracowywanej wówczas konstytucji Królestwa Polskiego, która przewidywała zasadę tolerancji dla wszystkich wyznań w Polsce. Zapisy projektu konstytucji były już dyrektywami dla odradzającej się polskiej administracji. Dlatego uchylono rozporządzenie z 7.III.1916.r. i zezwolono na otwarcie obiektów mariawickich. Dla wiedzy potomności należy przekazać, że pismo powyższe podpisali w imieniu Rady Stanu: Wicemarszałek Koronny J.Mikułowski-Pomorski i referent Sekcji Wyznań Religijnych Wójcicki.

Na zakończenie dodam, że nie wiem dlaczego datę otwarcia obiektów mariawickich na Lubelszczyźnie Stanisław Rybak przynosi na listopad 1918.r. i powołuje się na decyzję rządu Moraczewskiego<sup>7</sup>.

Ignacy Stobiecki

<sup>1</sup> „Mariawita” nr. 4 z 1964.r. str. 11.-12. i tamże nr 2 z 1966.r. str.8.-9.

<sup>2</sup> Stanisław Rybak „Mariawityzm, studium historyczne” Warszawa 1992, str.78. ...Krzysztof Mazur „Mariawityzm w Polsce”, Kraków str.59

<sup>3</sup> Stanisław Jan Rostworowski „Socjologiczna metoda ujęcia mariawityzmu” w .....*Nasza przeszłość, studia z dziejów Kościoła i kultury w Polsce*” Kraków ...1997, str.407.

<sup>4</sup> Cytowane dokumenty kościelne i administracji zaborczej z okresu 1916.-1025 - w ...archiwum autora.

<sup>5</sup> „Mariawita” nr. 2 z r. 1996.

<sup>6</sup> S.J.Rostworowski - jak wyżej.

<sup>7</sup> St.Rybak - jak wyżej.

=====

**SPROSTOWANIE:** w zeszycie 12. naszego pisma na str. 24. w wierszu 7. od dołu, zamiast roku 1903 powinien figurować rok 1904. Redakcja przeprasza Autora - Brata Stobieckiego za ten błąd powstały z jej winy i prosi czytelników o odręczne jego poprawienie, aby się nie stał podstawą dalszych nieporozumień dotyczących historii mariawityzmu.

=====

## Recenzje

### OBJAWIENIA MATECZKI PO SZWEDZKU

Ukazało się w formie skryptu w białych kartonowych okładkach dzieło o mariawityzmie w języku szwedzkim napisane i zredagowane przez mariawickiego biskupa misyjnego dla Szwecji Gunnara M. Bartłomieja Petersona<sup>1</sup>. Dzieło zawiera podstawowe wiadomości o Mateczce i Dziele Bożym oraz wszystkie księgi jej objawień spisane własnoręcznie przez nią według układu wydania krakowskiego z roku 1995. Układ odsyłaczy, aczkolwiek czerpiący materiał z polskich wydań z lat 1922, 1967. i 1995. został opracowany samodzielnie z myślą o czytelniku szwedzkim nie znającym spraw polskich. Nie posiadając znajomości języka szwedzkiego, nie potrafię ocenić strony treściowej ani językowej ale prosta i poważna szata graficzna, miły i czytelny druk sprawiają dobre wrażenie, a wyróżnienie w relacjach z objawień, wszystkich słów Bożych tustym drukiem wydaje się dobrym rozwiązaniem, godnym nastadownictwa również w przyszłych wydaniach polskojęzycznych. Jest to, o ile mi wiadomo, pierwsze wydanie w formie książkowej objawień Mateczki w języku obcym. Istnieją lub istniały tłumaczenia w językach litewskim, niemieckim i esperanto. Krążyły w odpisach, nie były jednak opublikowane. W latach sześćdziesiątych rozeszła się pogłoska o książkowym wydaniu w Wyandotte w Stanach Zjednoczonych tłumaczenia anglojęzycznego, której się niestety dotąd nie udało potwierdzić.

Bratu biskupowi Bartłomiejowi można pogratulować. Zrobił dobry początek.

brat Paweł

<sup>1</sup> Gunnar M. Bartholomeus Peterson „*Felicja Maria Franciszka Kozłowska och Barmhätighetens verk*” Fjällkinge 1999, stronic 52 fromatu A4.

=====

Opląty za prenumeratę wystarczają do wydawania i rozsyłania dwudziestostronicowych zeszytów „Pracy”. Jak to czytelnicy mogli zauważyć, ostatnie trzy z nich, to jest 11., 12. i obecny 13. mają znów zwiększoną objętość, przy czym objętość zeszytu 12. była rekordowa (36 stronic!). Stało się to możliwe wskutek hojności naszych przyjaciół, którzy złożyli specjalne zasiłki na ten cel. Wszystkim ofiarodawcom, tym co złożyli większe, tym - co średnie i tym, co zupełnie małe sumy, składamy serdeczne podziękowanie

Redakcja

=====

## Z dziejów Zgromadzenia

### 6. „Akcja wydawnicza”

W naszej działalności staleśmy się stykali z zapotrzebowaniem na teksty objawień Dzieła Miłosierdzia Bożego.

Pytali o nie bracia i siostry Zgromadzenia, bo według tych objawień mieli przecież układać swoje życie. Pytali o nie stowarzyszeni ze Zgromadzeniem członkowie Związku Nieustającej Adoracji Ublagania. Urodzeni w rodzinach mariawickich, często mogli te objawienia gdzieś znaleźć we własnych domach lub u krewnych. Nowym osobom przyjmującym Dzieło Miłosierdzia nie umieliśmy wskazać ani miejsca gdzie można by je kupić, ani biblioteki, gdzie by je można przeczytać. Felicjanów wydał objawienia Mateczki ostatnio w niewielkim nakładzie w roku 1967<sup>1</sup>, ale ta książeczka była całkiem wyczerpana. Ostatnie wydanie płockie - w większej książce poświęconej mariawityzmowi - było jeszcze starsze - z roku 1927<sup>2</sup> i tym bardziej nigdzie już nie do zdobycia. Książka Stanisława Rybaka<sup>3</sup> w roku 1992 podała (bez tytułu) tekst księgi „Początek związku”, ale to przecież ledwie wstęp do całości objawień Mateczki. Wprawdzie brat biskup Tymoteusz mówił, że nowe wydanie objawień, też zapewne w większym, zbiorowym tomie, ma zamiar wydać w stulecie mariawityzmu i nawet na jego zlecenie napisałem przedmowę do tych objawień, jednak rok jubileuszowy mijał, a objawienia się nie ukazywały.

Byliśmy tym faktem nieco zaniepokojeni i sfrustrowani, bo mieliśmy nadzieję, że takie wydawnictwo się ukaże i będziemy mogli z niego również i my skorzystać. Zaczęliśmy pytać i wtedyśmy się dowiedzieli, że nie rozpoczęto jeszcze żadnych istotnych kroków w tej sprawie. Zrozumieliśmy, że inni czekają na inicjatywę brata biskupa Tymoteusza, a on będąc chory, nie myśli o tym. Postanowiliśmy wtedy zastąpić bezradnie czekających i tanie, ogólnodostępne wydanie Objawień przygotować sami.

Łatwo pomyśleć. Trudniej wykonać. Co innego było powielić na kserografie parędziesiąt egzemplarzy brewiarza, a co innego wydać prawdziwą książkę. Napisać potrzebną przedmowę, opracować odsyłacze konieczne dla zrozumienia tekstu pisanego w innej przecież epoce, jak również złożyć tekst na komputerze i przygotować stronicę do druku umieliśmy sami. Pozostały dwie trudności, skąd wziąć pieniądze na druk i jak załatwić formalności wydawnicze. Pierwotna myśl, aby prosto wydać pod firmą Zgromadzenia musieliśmy z miejsca zarzucić. Wydanie książki jest działalnością gospodarczą. Oczywiście możnaby formalnie założyć „firmę” (gospodarstwo pomocnicze), które by wzięło na siebie formalności. Ponieważ wydanie książki nie było pomyślane jako impreza dochodowa, więc podatku nie trzeba było płacić. Nie mniej musiałaby być prowadzona księgowość dokumentująca niedochodowość przedsięwzięcia. Nikt w Zgromadzeniu na księgowości się nie znał, zaś zaangażowanie opłacanego księgowego wywołałoby dodatkowe i - jak na nasze możliwości - nie małe koszty. Zdecydowaliśmy więc poszukać wydawcy, który weźmie na siebie formalności zarówno finansowe, jak i wszelkie inne i od którego gotowy nakład książki odkupimy, aby go następnie rozprowadzić w ramach statutowej działalności placówek kościelnych.

To co nam powiedzieli zapytani wydawcy, było zupełnie odstrasające. Nie przytaczam sum, bo dziś już nikt nie czuje jak w

latach 1993 - 1995 spadała wartość pieniądza i jak rosły (lub jak nie rosły) zarobki. Dość powiedzieć, że żądane kwoty parokrotnie przewyższały nasze możliwości. Mimo to, na wstępnym zebraniu w czwórkę ustaliliśmy kroje czcionek i graficzny układ stronic. A potem, w ciągu kilku miesięcy ukończyliśmy - w innym gronie - komputerowy skład tekstu. Wiedzieliśmy, że wydanie objawień jest potrzebne i liczyliśmy prosto, wbrew logice, na pomoc Bożą. Przeżyliśmy błysk nadziei, gdy ktoś nam zaproponował taniego drukarza. Okazało się jednak, że on miał tylko drukarnię, ale nie wydawnictwo. Mógł wydrukować i dać rachunek za druk. Żadnych innych formalności na siebie wziąć nie miał prawa.

Wreszcie pewien przyjaciel mariawityzmu skontaktował nas z wydawnictwem „Akasha”. Wydawcami była sympatyczna, młoda para rozpoczynająca działalność artystyczno - wydawniczą. On - pan Siergiej obiecał opracować projekt okładki i w tym celu zapoznać się z symboliką mariawicką, zaś ona - pani Małgorzata oświadczyła, że tymczasem wydawali tylko foldery i ulotki, ale „spróbują wydać” książkę. Cenę policzają promocyjną, reklamową. Rzeczywiście podana przez nich kwota była nie wiele większa od tej na jaką potrafilibyśmy się złożyć. Brakowało tylko odpowiednika - na dzisiejszą wartość pieniądza - około półtora tysiąca złotych. W przekonaniu, że Opatrzność pomoże nam znaleźć brakującą resztę i trochę ze strachem, czy tak początkujące wydawnictwo dobrze się upora z zadaniem, ale też nie mając wyboru, podpisaliśmy umowę. A pieniądze się rzeczywiście znalazły. Dwóch mariawitów nie związanych ze Zgromadzeniem, dowiedziawszy się o celu, złożyło się na brakującą sumę. Jeden pożyczyl, drugi - ofiarował. Wydawnictwo „Akasha” wywiązało się z zamówienia w naprawdę reklamowym tempie. W środku roku 1995, w niewiele tygodni po złożeniu przygotowanego komputerycznie składu, paczki z gotową, oprawioną książką<sup>4</sup> zostały dostarczone na miejsce. Niedługo potem jedne z pierwszych egzemplarzy zostały wręczone braciom biskupom z obu mariawickich denominacji.

Pozostał problem rozprowadzenia dzieła. I tu też były z początku trudności. Niektórzy proboszczowie odmówili rozprowadzenia, bo im się nie podobała przedmowa, innym - krój czcionek. Paru wzięło tylko kilka egzemplarzy, tłumacząc, że parafian mało interesuje literatura. Ale byli i tacy którzy brali od razu 100 sztuk płacąc gotówką. Wielką pomoc w kolportażu okazali niektórzy laicy członkowie Zgromadzenia oraz Związku Nieustającej Adoracji Ublagania. Po dwóch latach mogliśmy już zwrócić pożyczone sumy wszystkim, którzy nam zaufali i złożyli się na tak ważny cel. Gdy dziś myślę o tych nieraz drobnych kwotach składanych z ufnością w nasze ręce przez niezamożnych ludzi jako pożyczki (a w kilku wypadkach jako bezzwrotne dary), ogarnia mnie rozrzewnienie. A gdy myślę co by było, gdyby kolportaż się nie udał i trzeba by było oddawać pożyczone pieniądze z własnej kieszeni redaktorów - ogarnia mnie strach.

Ale przecież objawienia są światu potrzebne, więc się musiało udać.

*brat Paweł*

<sup>1</sup> „Objawienia Mateczki” Wydawnictwo Kościoła Katolickiego Mariawitów, Felicjanów .....- 1967 .

<sup>2</sup> „Dzieło Wielkiego Miłosierdzia” Plock, Przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości - 1927.

<sup>3</sup> S.Rybak „Mariawityzm - Studium historyczne” Warszawa 1992

<sup>4</sup> F.M.F.Kozłowska „Objawienia Dzieła Miłosierdzia Bożego” Kraków 1995

=====

**PRACA nad sobą** - aperiodyk mariawicki. Wychodzi nieregularnie w miarę napływu materiałów. Ukazuje się na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m.14 - 31-049 Kraków. „Prenumerata” (zwrot kosztów druku i przesyłki pocztowej w kraju) obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 12 zł. Należność należy przysłać *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy. Można też „prenumeratę” opłacić osobiście w redakcji.. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zależy od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie. Osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę

=====